

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁUMACZYŁA

MARYA TOCZYSKA

27

I.

Bogaci i biedni, wszyscy prawie mieli twarze blade, czoła pochylone, oczy przygasłe, w których czytać było można troskę i niepokój. Byli to pacjenci doktora Markusa Hennera, którzy już od dwóch godzin blisko oczekiwali cierpliwie na jego nadejście.

Zaledwie się pojawił, kiedy powstał wszyscy i każdy usiłował uchwycić jego rękę, przemówić do niego, zwrócić na siebie jego uwagę.

Ale Markus Henner nie zatrzymując się, przeszedł salę, owinięty szczególnie w swój płaszcz futrzany z miną człowieka, który nic nie widzi i widzieć nie chce. Drzwi z trzaskiem zamknęły się za nim, przeszedł jeszcze dwa salony i w końcu znalazł się w swoim gabinecie.

Gabinet ten obszerny, oświetlony był światłem padającym z olbrzymiego okna wychodzącego na oranżeryę pełną najrzadszych kwiatów i roślin.

Wokoło stały duże dębowe szafy, zamykające słoje książek, książek grubych oprawnych w pergamin, na których czytać było można tytuły, wydrukowane dziwacznie jakimiś literami.

Wielkie biurko, stojące pod oknem, zarzucone było papierami i książkami. Olbrzymi kryształowy kałamarz stał otwarty pośrodku. Poza tem, żadnych przyrządów chirurgicznych lub lekarskich aparatów — nic, zupełnie nic, co by przypomnieć mogło, że Markus Henner, właściciel tego mieszkania jest doktorem.

Tylko nawprost wielkiego, weneckiego okna umieszczony był fotel czarny, skórzany, zwrócony w ten sposób, aby pełnia światła padała na twarz tego, któryby w nim usiadł, podczas kiedy drugi fotel, zajmowany przez Markusa, tonął w półcieniu.

Wszedłszy do gabinetu, Henner zdjął rękawiczki i futro i rzucił je na kanapę, poczem bezwładnie usunął się na fotel, jakgdyby wyczerpany zupełnie fizycznie. Lecz przygnębienie nie trwało długo. Markus Henner powstał po chwili, zbliżył się do ściany i nacisnął guzik elektryczny.

Małe drzwi, doskonale ukryte w ścianie otworzyły się i ukazał się w nich człowiek czarno ubrany w białej krawatce. Był szczupły i bardzo wysoki. Gęste, symetrycznie podstrzyżone faworyty okalały jego twarz, w której błyszczały nieduże, siwe oczy, pełne blasku i życia.

Podszedł na środek pokoju i pozostał tam w nieruchomej postawie, oczekując pierwszych słów Markusa Hennera.

Doktor siedział w swoim fotelu zamyślony głęboko.

— Lewi — odezwał się po chwili — czy jest co nowego?

— Proszę mnie pytać, panie, a odpowiem na wszystko, brzmiała odpowiedź.

— Listy?

— Jest kilka.

— Skąd?

— Austrii, z Niemiec, z Belgii.

— A niema nic... z Woch.

— Nic!

— To dziwne!

— Bardzo dziwne panie.

— Trzebaby wysłać kogo „tam“.

— Pan sam powinien się tam udać.

— Nie mogę — rzekł Markus Henner z akcentem znecierpliwienia.

— A więc ja?

— Nie, potrzebuję cię.

— A więc nikt.

— Nikt! Na nieszczęście nikt! — rzekł Henner.

— Czy mam telegrafować?

— Nie! Nigdy! Powiem ci później. Czy kto przychodził?

— Poczekalnia pełna jest ludzi.

— Widziałem, nie chcę dzisiaj nikogo przyjmować.

— Panie... może lepiej będzie jeżeli pan ich przyjmie.

— Tak?

— Tak sędzę.

— A więc przyjmę ich.

— Są ludzie przybyli z Rosyi.

— Biedni?

— Tak mi się zdaje.

— Każ im dać jeść i wyznacz im miejsce na noc. Pomówię z nimi później.

Zaległo milczenie. Widocznem było, że Markus Henner był czemś mocno zajęty i zaniepokojony, że chciał się o coś powiernika swojego zapytać, ale wahał się jeszcze.

— A... Marya? — zdecydował się w końcu.

— Lewi rozłożył bezradnie ramiona.

— Zawsze to samo usposobienie?

— Zawsze.



Małe drzwi, doskonale ukryte w ścianie otworzyły się i ukazał się w nich człowiek czarno ubrany w białej krawatce.

— Nie chce ustąpić.

— Ona nigdy nie ustąpi, nigdy! Umrze prędzej — odparł Lewi z przejęciem.

— Nie chcę jej śmierci — wyrzekł powoli Markus Henner.

— Czy pan wie, że ona chciała się zabić?

— Wiem. Co robiła dziś rano?

— Modliła się długo.

— To jest niezmiennie! A potem?

— Pisała.

— Zawsze ten pamiętnik?

— Tak. To są listy, jak panu wiadomo.

— Zaadresowane do jednej i tej samej osoby.

— Tak.

— To straszne! — zawołał Markus Henner.

— Co ona robi z tymi listami? — dodał już spokojniej, opierając głowę na rękach, jakgdyby to pytanie zadawał sam sobie.

Lewi wzruszył ramionami.

— Czy to możliwe, że je znaleźć nigdzie nie można? — westchnął po chwili doktor.

— Gdyby pan chciał...

— Ja? Ja?

— Pan może wszystko — wyrzekł pokornie sługa, który w pewnych chwilach był powiernikiem pana.

Markus Henner potrząsnął głową w milczeniu.

— Te listy znaleźć się powinny — szepnął po jakimś czasie.

Lewi milczał.

— Czy ty jesteś pewnym Lewi, że ona je nie rzuca na pocztę?

— Jakże by mogła to zrobić? Albo pan, albo ja, albo Justyna jesteśmy zawsze przy niej.

— A może przejednała kogo?

— Będę szukać, ale nie wierzę w to. Wszyscy tutaj są oddani panu.

— Ale mnie nie kochają!

— Lękają się pana i szanują go.

— Ale nikt mnie nie kocha — powtórzył z goryczą, w głosie Markus Henner.

— Jestem panu wiernie i szczerze oddany — pan wie o tem — zaprotestował powiernik.

— To nie jest jeszcze miłość, Lewi — odparł doktor. — A przecież ja także mam serce!

Mgła łzawa przysłoniła kryształowy blask jego zielonych oczu. Lecz opanował się natychmiast i zapytał:

— Lewi, czy ty znasz jakiego człowieka, któremu możnaby zawierzyć bardzo delikatną misję?

— Tak... miałbym takiego człowieka. Ale muszę go odnaleźć.

— Nie wiesz gdzie jest obecnie?

— Niewiem, ale natrafiłem przypadkiem na jego ślady.

— Odszukaj go zaraz.

— A potem?

— Przyprowadzisz mi go.

— Czy mogę się dowiedzieć, jaką misję chce mu pan powierzyć?

— Wyszłę go do Włoch.

— Ah!

— Chcę, aby wszystkie klasztory, wszystkie miejsca schronienia były przeszukane, aby w nich odnaleźć można Rachelę Kabib.

— Niektóre klasztory są zupełnie nieprzystępne dla zwyczajnych ludzi.

— Można się do nich dostać siłą.

— To są poważne sprawy, panie.

Zdobyliśmy się już na rzeczy poważniejsze jeszcze — odparł Markus Henner.

— To prawda... panu uczynić wszystko wolno — przytaknął sługa.

— Mam przecucie, że kościół odebrał nam Rachelę i że poświęciła się Bogu.

— Jednakże szukano już wszędzie.

— Widocznie jeszcze niedostatecznie — rzucił twardo Markus Henner.

— Ojciec jej błaga się z kraju do kraju.

— Stary oszalał już, lub zgłupiał. Znajdź mi tego człowieka, Lewi. Wynagrodzę go dobrze.

— To jest agent policyjny, panie.

— To dobrze. A teraz druga rzecz jeszcze. Potrzebne mi są jak-

najprędze wiadomości o hrabinie Klarze Loredana.

— Ona podróżuje...

— Wiem, ale trzeba się dowiedzieć, gdzie się znajduje obecnie. Dlaczego nie zdecydowała się jeszcze? Na co oczekuje? Musimy to wiedzieć!

— Czy pisać?

— Nie, nigdy. Posłać kogo, jak tylko zdobędziemy jej adres.

— Wincentego może?

— Tak.

— Co więcej jeszcze, panie?

— Musimy być gotowi do wyjazdu — wyrzekł po chwili namysłu Markus Henner.

— Do wyjazdu?

— Tak.

— A pani?

— Pani musi być posłuszną.

— Pan zawsze może wywołać posłuszeństwo dla siebie, ale pani nad tem cierpieć będzie.

— Wszystko jedno!

— Jak opuszczała Włochy, tak strasznie płakała!

(Ciąg dalszy nastąpi).